

Akcja „JULA”

Andrzej Wolski

Wiosna czterdziestego czwartego roku pachniała inaczej niż dotychczasowe, które począwszy od tej najgorszej, pierwszej w klęsce wrześniowej, nie przynosiły nic poza nowymi sukcesami armii niemieckiej i coraz większego terroru okupanta wobec oporu polskiego podziemia.

Tej wiosny pierwsze porywy ciepłego wiatru przywiały wiadomości o niepowodzeniach na froncie wschodnim. Za nimi nadciągnęły ogromne transporty rannych, które mijały się z pociągami pełnymi sprzętu i amunicji, pędzącymi w przeciwnym kierunku, na 2wschód... Spoglądaliśmy z przerażeniem na twarze bez odmrożonych uszu, na wybałuszone oczy bez powiek, na te pokurczone bólem resztki ludzkie i nie mogliśmy się zdobyć na obojętność. Ale to były momenty, bo przecież ta wiosna pachniała nadzieją. Nareszcie widzieliśmy, mogliśmy nawet dotknąć klęskę naszego wroga. Może to już niedługo...? Na innych frontach też coraz lepiej.

Każdego wieczoru przyciskamy do uszu słuchawki, by złowić upragnione „bum bum bum”, które jak na złość, to się oddala, to przybliża. Odbiór podły, bo i radia palcem robione, a schować też trzeba dobrze, bo za to kara śmierci, albo „kacęt”, co prawie na jedno wychodzi. Moje jest w pudełku od landrynek i trzymam go na balkonie pod śmieciami. Mimo to każdego wieczora coś mogę usłyszeć. Tak wiec alianci są już w Italii. Wprawdzie Niemcy ich zatrzymali gdzieś w górach, ale to na pewno kwestia paru dni. Ciągłe ciężkie bombardowanie miast niemieckich. W rejonie Pacyfiku McArthur idzie naprzód, a japońska flota, dotąd najsilniejsza na świecie, przestała prawie istnieć. Chyba to bliżej jak dalej...

Naprawdę ta wiosna już wyraźnie pachnie wolnością.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z pogodnych rozmyślań. „O czwartej popołudniu popijawa. Będzie parę osób. Nie spóźnij się, będą fajne dziewczyny”. Głos Janka brzmiał wesoło. Według naszego kodu bezpieczeństwa oznaczało to, że odbędzie się tak zwana odprawa, czyli spotkanie konspiracyjne. Na pewno szykuje się jakaś akcja. „Faje dziewczyny” sugerowało obecność kogoś z dowództwa. Popijawa jako określenie spotkania było używane stosunkowo niedawno. Przedtem zapraszało się na brydża. Dla podsłuchujących telefony volksdeutsch mogło się to wydawać normalne, że ludzie spotykają się żeby grać w karty. Ale diabeł zawsze szuka okazji, żeby spłatać figla. I tak Kuba zawiadamiając nas o dacie mającej odbyć się akcji dzwonił kolejno do wszystkich, zapraszając na karty. Do mnie zadzwonił dosyć późno.

- Jędrek?

- Tak.

- Słuchaj, może jutro zagrabilibyśmy w brydża . Myślę, że koło trzeciej popołudniu, to będzie trochę czasu do godziny policyjnej.

- Doskonale, to mi pasuje.

- Poproś jeszcze Wiecha będzie na czwartego. Tylko nie zapomnij wziąć zapasowych magazynków do stena.

Rzuciłem słuchawkę jakby mnie oparzyła. Drugi z kolegów telefonował do jednego z naszych dowódców, by go powiadomić , że już czekają na niego z kartami w ręku, po czym dodała niewinni:

- Jednego tylko co nam brak to paru granatów, bo nasza skrzynka na razie „spalona”.

Takich chochlików musiało być więcej, bo niedawno przyszedł specjalny rozkaz, by przestać grać w karty.

Sprawa wydaje się komiczna i my wtedy śmieliśmy się z naszych przejęzyczeń, bo na tym się tylko skończyło. Tymczasem sytuacja stała się poważna. Był to czwarty rok okupacji. Gestapo i żandarmeria niemiecka miały już bardzo dużo wiadomości o polskim ruchu oporu. Już przeszło przez ich ręce tysiące ludzi. Nasze grupy szturmowe, które wykonywały większość akcji dywersyjnych były specjalnie poszukiwane i śledzone. Mówiło się już po cichu, że trzeba nas wysłać do lasu, bo jesteśmy spaleni i grozi nam w każdej chwili grubsza wpadka.

Siedziałem teraz pod wrażeniem telefonu i rozmyślałem co to za „popijawa” nas czeka teraz?

Do Janka dotarłem na ostatnim oddechu. Jak na złość tramwaj uciekł mi przed nosem i prawie całą drogę od ul. Narbutta do ul. 6-go Sierpnia przeszedłem mocno przyspieszonym marszem. Janek, który otworzył mi drzwi, zaproponował żebym wziął zimny prysznic, a Amorek znany z punktualności, uścisnął mi rękę i rzekł: to głupstwo, zdarza się. Ulżyło mi. W rogu pokoju, siedział „Szyb” przy dużym stole, na którym rozłożona była duża mapa. Widać tylko mnie brakowało, bo ledwo zdążyłem odetchnąć głębiej, Andrzej zabrał głos.

- Dostaliśmy rozkaz przecięcia linii dostaw niemieckich na front wschodni. Wybraliśmy dwa punkty akcji: most na rzece Wisłok pod Tryńcza, i przepust kolejowy pod Rogoźnem niedaleko Rzeszowa. W ten sposób zostaną przerwane dwie główne linie, którymi idą masowe transporty dal armii niemieckiej. Wasz pluton wykona przecięcie linii pod Rogoźnem. Na dowódcę akcji wyznaczam „Anodę”. Obserwatorem z ramienia dowództwa będzie „Szyb”.

- Morro - zwrócił się do „Anody” –Dobierzesz sobie 12 ludzi.

Resztę szczegółów omówicie między sobą, ja muszę uciekać.

Po jego wyjściu pochylił się na mapę. Nasze Rogoźno leżało między Rzeszowem i Przeworskiem. Od Rzeszowa, który był na linii krakowskiej było według naszych wyliczeń z mapy, około 40 km. Natomiast do Tryńcy naliczyliśmy dwadzieścia parę kilometrów.

- Jur - zwrócił się do mnie „Anoda” – ty pojedziesz na rozpoznanie do Rogoźna. Tam skontaktujesz się z kierownikiem szkoły. To nasz człowiek. Weź ze sobą jednego chłopca z drużyny. Zrobisz pomiary mostu tak, żeby można przygotować karkasy z drzewa, w które wciśniemy plastik. Będąc na moście, przywiążemy ładunki do belek mostu, po czym włożymy splonki i połączymy wszystko siecią lontów. W ten sposób nie będzie trzeba przylepiać plastiku bezpośrednio do zimnego metalu, co nie jest bardzo przyjemne i bardzo pracochłonne.

- Ale pamiętaj – wtrącił „Szyb” – żeby nie pomylić się w pomiarach. Zawsze brać wymiary wewnętrzne stalowych belek, a przy robieniu karkasów pamiętać o grubości desek, bo inaczej to zasypa! - Uśmiechnął się lekko, a ruda głowa poczerwieniała mu teraz do reszty. Znałem na pamięć te przestrogi, bo to przecież on był wykładowcą minerki na „Filtrach” i takich przepisów skutecznego wysadzania w powietrze uśpionego wroga dawał nam setki.

- Druga rzecz – ciągnął Janek - to szkic terenu, możliwie najdokładniejszy. Szczególnie drogi dojścia i odskoku. Ważne jest zaznaczyć miejsce, gdzie mają przywieźć materiały wybuchowe. Następnego dnia odeślesz swojego towarzysza wiadomościami do mnie. Ty zostaniesz, przygotujesz kwatery na dwanaście osób i miejsce, gdzie złożysz plastik i inne szpargały minerskie. Ja przyjadę z resztą ludzi. Wyznacz pięciu ludzi z twojej drużyny. Mamy bardzo krótki termin. [...]

Mój wybór padł na „Zawrata”. Co wpłynęło na to, trudno powiedzieć. Może sportowa sylwetka, uśmiech w trudnych momentach, rzadkie, ale w większości trafne uwagi, a może, jak zwykle u mnie, intuicja. Rozmyślałem nad tym teraz, idąc wąską ścieżką wzdłuż toru kolejowego.

- Już chyba uszliśmy jakieś pięć kilometrów – dobiega do mnie głos „Zawrata”.

Nie zatrzymując się odwróciłem głowę. Rzeczywiście zostawiliśmy Rzeszów już dosyć daleko. Jeszcze bielilo się parę domków, tych ostatnich z przedmieścia. Wyraźnie szliśmy na wschód. Marcowe słońce umykało nam sprzed nosa, za to zimny wiatr od czoła przenikał kurtki z lichego materiału. Spojrzałem na mojego towarzysza i z zadowoleniem stwierdziłem, że wygląda na wiejskiego parobka. Instrukcja mówiła wyraźnie, że nie możemy się odróżniać od miejscowej ludności. Ja na to konto kupiłem na Kercelaku szara kurtkę z „pokrzywy” i do tego odpowiednia cyklistówkę.

- Myślę, że musimy zeskoczyć z nasypu kolejowego, bo nadjeżdża pociąg –zawołał nagle „Zawrat” skacząc przez rów pełen wody.

Poszedłem w jego ślady, tyle że potknąłem się i wylądowałem w samym środku rowu. Lodowata woda zmroziła moje ciało od pasa w dół. „Zawrat” zachował się po bohatersku. Mimo że musiałem przedstawiać widok więcej niż komiczny, a scena odegrana godna była najlepszego filmu z Charli Chaplinem, podał mi rękę z wyraźną troską na twarzy. Szczęśliwie

ze sto metrów od tego zdarzenia stała na pół rozwalona budka. Skryłem się za ścianą i rozebrałem od dołu do połowy, patrząc bacznie, czy nie idą jacyś ludzie, a szczególnie kobiety. Mógłbym zginąć jako antychryst, przygodny patrol niemiecki też mógłby się zaciekawic takim wiosennym nudystą. Szczęśliwie wiatr był porywisty, a spodnie drelichowe wraz z krótkimi gatkami. Gorzej było z butami. Były to buty armii niemieckiej, kupione też na Kercelaku. Cóż miałem robić. Wylałem z nich wodę i poczłapałem dalej. Ale niedługo trwało moje szczęście. W pewnej chwili droga kończyła się na rozmokłym, gliniastym polu. Dzielnie przebrnęliśmy i te przeszkodę i już prawie suchy docierałem do twardej drogi, kiedy nagle poczułem, że jeden but jest podejrzenie leki i że czuje każdy kamyczek nadepnięty na drodze. But armii niemieckiej nie zdał egzaminu. Zgubiłem w błocie zelówkę. Tym razem ryknęliśmy z „Zawratem” gromkim śmiechem. Zelówka się znalazła i kulawym krokiem dotarliśmy do wsi Rogoźno.

Tu już trzeba było się rozglądać i udawać znającego okolice, by jak najmniej pobudzać ciekawość. Nasz punkt odniesienia to szkoła. Na razie nie ma chałup, ale nagle pojawia się droga. Jest szeroka, mocno wyjeżdżona i pełna błota pomieszanego ze śniegiem. Wieś musi być blisko, ale my musimy przeciąć rozmiękczonego trakt i kontynuować równoległe do toru. Mój but bez zelówki rozmiękł już definitywnie, tak że za każdym krokiem rozluźniona cholewka klapie głośno o moja łydkę. Nie trzeba dodawać jakie sensacje przeżywa moja skostniała z zimna stopa, która tak wędruje po na pół zamarznętej ziemi już parę godzin. Za to świetna charakteryzacja. Wyglądam jak wędrowny żebrak, nie budzę podejrzania. Obaj zmęczeni posuwamy się bez jednego słowa. Wraz z zachodzącym słońcem ucichł lodowaty wiatr. Zaczynam się niepokoić, ściemnia się coraz bardziej, a punktu rozpoznania nigdzie nie ma. Najbardziej boje się że w każdej chwili „Zawrat” może się zaniepokoić i zadać niedyskretne pytanie. W pewnej chwili minęliśmy dużą kępę drzew i na horyzoncie ujrzeliśmy olbrzymie półkole toru kolejowego, ułożonego na wysokim nasypie. Szyny biegły po krzywiźnie równo obok siebie w stronę jaśniejącego jeszcze nieba, by po chwili schować się nagle w czerniejącej konstrukcji mostu.

- Jesteśmy! – wyrwało mi się z serca.

Przystanęliśmy, by odnaleźć dom kierownika szkoły, który miał być naprzeciwko zakrętu, gdzieś na skraju lasu, gdzie była duża kępa brzoź.

„Zawrat pierwszy ja zauważył.

- Widzę, coś się bieli, tam na lewo – krzyknął wskazując ręką kierunek.

Teraz już szliśmy krokiem „maratońskim”, jakiego nas nauczyli nasi skoczkowie na kursach dywersyjnych. Brzoźki wyrosły przed nami nagle. Stanęliśmy w pierwszych drzewach i tak tkwieliśmy w bezruchu łowiąc wszystkimi zmysłami najmniejszy ślad istnienia ludzkiego w pobliżu. Ciemność nieprzenikniona. Zaciemnienie okien obowiązkowe.

Tam gdzie ciepło mus być zapach dymu. Zaczęliśmy chodzić w różnych kierunkach, na odległość głosu i wachać. Powoli zaczęliśmy tracić nadzieję, gdy w pewnym momencie wydało mi się że słyszę skrzyp otwieranych drzwi. Ścisnąłem „Zawarta” za ramię.

Zamarliśmy w pół kroku. Po chwili mignęła smuga światła. Trwało to tak szybko, że przez chwilę zwątpiłem, że to prawda, ale wiedziony instynktem krzyknąłem:

- Czy jest tam kto?

Wstrzymaliśmy oddechy. Słyszałem jak mi serce bije. Przez chwilę uświadomiłem sobie, że właściwie powinniśmy dla bezpieczeństwa paść na ziemię ale chwila była tak napięta, że bałem się ruszyć z miejsca. Nagle znów błysnęło światło. Jasny stożek przebiegł szybko po paprociach, pniach, krzewach i zgasł nagle, tak jak się pojawił.

Niemcy? Może, ale zaryzykuje.

- Czy to droga do Rogoźna? –krzyknąłem w ciemność.

Teraz blask latarki wyraźnie był skierowany w naszą stronę.

- Nie do Warszawy – dobiegł zachrypnięty głos.

...Zbudziła mnie smuga słońca, która rozjaśnia moje powieki. Natarczywe światło oślepiło mnie kompletnie. Odruchowo wyciągnąłem szeroko otwartą dłoń, by chronić oczy i ze zdziwieniem zobaczyłem obok siebie smacznie śpiącego Jurka na dobrze wypchanym sienniku. Otaczały nas półki z książkami. Na grzbietach bieleły się równo przyklejone naklejki, ozdobione pięknie kaligrafowanymi czarnym tuszem numerami. Nagle otworzyłem sobie wszystko. Ten kto w nocy błysnął latarką i odkrzyknął hasło okazał się kierownikiem szkoły w Rogoźnie. To on przytaszczył sienniki do biblioteki szkolnej, dał po grubej pajdzie czarnego chleba z kielbasa, dwa kubki gorącej herbaty i kazał jak najszybciej kłaść się spać. „Zawrat” otworzył już drugie oko, a naszego gospodarza nie ma. Nikogo nie ma. Przecież to przerwa wielkanocna w szkołach. Zacząłem się trochę niepokoić. Pomiary mostu trzeba było zrobić jak najszybciej. Data akcji wyznaczona jest na wielki Czwartek. Tymczasem pomiary mostu trzeba nie tylko zrobić, ale też zawieść je do Warszawy, by wiadomo było ile przywieźć plastiku, lontów, spłonek i innych materiałów potrzebnych do wykonania akcji. Czas pilił, ale ważność sprawy wymagała wielkiej ostrożności, szczególnie, że z naszym przybyciem, cała wieś jakby wciągnięta do spisku. Rozmyślenia przerwało przybycie Szymona. Twarz jego wydała się młodsza w świetle poranka. Znikły zmarszczki, za to bystro patrzy na nas szare, głęboko osadzone oczy. Szybkim ruchem wyciągnął z koszyka papierową torbę z pachnącymi kielbasa pajdami chleba, po czym chwilę spojrzął na mnie i z uśmiechem rzucił pod moje nogi zreperowany but. Co za rozkosz mieć obydwie buty z zelówkami!

Wyruszyliśmy w teren. Minąwszy ostatnie krzaki lasu ujrzyliśmy most oddalony nie dalej jak dwa kilometry od nas. Już chciałem przyspieszyć kroku, gdy zza żelaznej kratownicy wyłoniły się wolno idące postacie patrolu niemieckiego. Kucnęliśmy i nie ruszając się obserwowaliśmy nieprzyjaciela.

- Według Szymona patrol chodzi mniej więcej co dwie godziny rzekłem półgłosem do „Zawrata”.- Jak tylko znikną z horyzontu, idziemy szybko do mostu. Ty zostaniesz na czatach i zagwizdziesz na alarm, jak się pojawia na drodze.

Spojrzałem na zegarek. Siódma trzydzieści! Rozsądniej było poczekać do następnego patrolu, by wiedzieć, czy rzeczywiście było dwie godziny czasu. Coś mi jednak szeptało, kusiło, żeby skończyć zaraz.

- Jurek ja skacze! Pilnuj dobrze przedpola!

- W razie czego to wiesz, co masz robić, tak jak uzgodniliśmy wczoraj!

Teraz szedłem szybkim krokiem po rozmokłej łące. Duże płachty śniegu utrudniały marsz. Ale jakże bosko iść w butach z zelówkami...

Za każdy krok błogosławiłem Szymona.

Już wysoki nasyp, ześlizguje się po zamrzłym żwirze, jeszcze krok, jeszcze dwa... Już nareszcie jestem na nasypie. Żeby pomierzyć belki nośne trzeba wślizgnąć się od góry, między torami. Jest odstęp. Lodowate żelazo mrozi ręce. Jeszcze jeden chwyt... Już jestem pod spodem. Teraz belka nośna, najważniejsza. Przerzucam nogę przez długi kabel, druga wciskam między dwa metalowe wsporniki i tak zawieszony wyciągam miarkę, robię pomiar, chowam miarkę, wyciągam z ust ołówek, notuje na dłoni, chowam ołówek, podciągam się dalej i znów ta sama gimnastyka. Ręce kostnieją coraz bardziej. Boże, żebym tylko czegoś nie zapomniał. W pamięci powtarzam instrukcje „Szyb”. Jeszcze jeden pomiar, najtrudniejszy. Musze chwile odpocząć. Byle tylko się nie poślizgnąć.. Przez chwilę leże przytulony do głównej belki, która teraz obejmuje obiema rękami. Nagle przypomniał mi się „Szyb” ze swoim sarkastycznym uśmiechem.

- Tylko nie zapomnij o grubości desek, bo inaczej to zasypa!

Mimo zamrzniętych rąk jeszcze raz zmierzyłem wewnętrzną wysokość belki, w którą musiał zmieścić się drewniany karkas z ładunkiem plastiku. Tu nie można się pomylić, bo karkas może się nie zmieścić w wykrój dwuteownika i wtedy ...”zasypa”.

Nagle postyszałem daleki gwizd. Prawi równocześnie dał się słyszeć chrzęst deptanego żwiru. Niemcy! Przywarłem do lodowatych belek. Przez szpary w deskach mignęły podkute zelówki. Słyszę pojedyncze słowa. Tak, Niemcy. Boże żeby mnie tylko nie dostrzegli. Jakże ten czas się dłuży. Żeby się tylko nie zatrzymali. Ręce zaczynają drętwieć... byle wytrzymać, jeszcze moment. Cholera, jeden zatrzymał się tuz nade mną... zapala papierosa. Zapalka spada tuz koło mojej głowy. Buty poruszyły się piasek sypie w oczy. Pot spływa mmi między łopatkami... jeszcze słyszę te straszliwe buty, ale oddalają się, jeszcze parok kroków... cisza.

Jakaś nadludzka siła wydostaje się spod mostu. Rzut oka w stronę stacji, pusto. Biegiem z nasypu nie oglądając się za siebie. Nareszcie rozmokła łąka, duże plamy zamrzłego śniegu, ślizgam się, znów błoto, nareszcie „Zawrat” wyskakuje zza drzewa. Na razie udało się. Jeszcze sprawdzam szkic terenu, który dostarczył nam Szymon. Jurek w między czasie narzucił parę punktów. Ostatni rzut oka i szybko do szkoły.

Dwie olbrzymie miski zupy czekały już na nas. Duże pajdy chleba dopełniały ten smakowity obraz.

Trzeba było się spieszyć. „Zawrat” musiał zdążyć na wieczorny pociąg z Rzeszowa. Podczas kiedy on opróżniał parującą miskę, ja rysowałem na cienkim pergaminie przekroje belek nośnych mostu i narzucałem ich wymiary. Jeszcze zostały belki wspornikowe, ilość wszystkich belek do przecięcia, następnie obliczyłem szybko wagę plastiku potrzebną do akcji, wreszcie to wszystko zwinięte w rulonik wcisnąłem w rękę „Zawrata”, uściśniętem go i „wyrzuciłem” za drzwi, bo każda minuta była droga.

Teraz dopiero zabrałem się do miski i pogryzając chrupiącym chlebem rozmyślałem, co jeszcze muszę przygotować. Przede wszystkim należało przewidzieć, gdzie „zamelinować” ludzi. Do wykonania akcji przewidzianych było dwunastu. Naliczyłem czterdzieści pięć kilo plastiku, do tego lonty, detonatory, spłonki, no i deski do zrobienia karkasów. Gdzieś to wszystko trzeba schować. Po tym jeszcze pociąć, pozbijać, napelnić.

Wykorzystałem to, że nikogo nie ma i spenetrowałem dokładnie szkołę. Znalazłem wszystko, co nam było potrzebne i doszedłem do wniosku, że szkoła jest wymarzonym miejscem do wykonania naszego zadania. Tuz przed wieczorem przyszedł Szymon i zaprowadził mnie na moja kwaterę. Runąłem jak kamień w pościel pachnącą świeżym praniem.

...- Ale Pan spał jak zabity, toć już niedługo południe!

Przez półotwarte drzwi zauważyłem w sąsiedniej izbie młodą kobietę, pochylona nad dużą glinianą miską z ciastem. Zerwałem się z łóżka. Zerwałem się z łóżka. W kacie stała na taborecie duża emaliowana miska, koło niej błyszczała woda w dużym dzbanie. Na stole przygotowane były duże pajdy chleba, w salaterce świeżutkie masło i pełny dzban mleka. Tak musi być w rajku. W czyścicu tak jak w Warszawie : margaryna na kartki, mleko mocno chrzczone i marmolada z buraków, słodzona sacharyną. Piekło to za drutami.

- Niech pan pójdzie w stronę szosy zobaczyć, jak Niemcy uciekają.

Lepiej iść brzegiem lasu, a nie samą drogą –rzekła z troską młoda gospodyni. –Licho nie śpi –dodała szeptem, patrząc na mnie swoimi brązowymi oczami, jakby chciała się upewnić, czy ja rozumiem.

Las błyszczał sopłami lodu topniejącymi na gałęziach świerków. Stałem onieśmielony ciszą. Odgłos łamanego chrustu moimi stopami wydawał się świętokradztwem. Duże płachty śniegu raziły oczy blaskiem odbitego słońca. Z rozkoszą wdychałem olbrzymie hausty czystego powietrza. Znów takie niezwykłe uczucie, że odnalazłem coś, co dawno straciłem. Kiedyż to było...lasy, zapach żywicy..., jak dobrze nam zdobywać góry i prężną piersią chłonąć wiatr...”.

Gwałtowny poryw lodowatego wiatru przywołał mnie do rzeczywistości. Moja „wiejska” kurtka, kupiona na Kercelaku okazała się cienką szmatą. Dokupiona do tego stroju „narciarka”, która miała być dodatkowym świadectwem naszego rodowodu wiejskiego też była

podszyta wiatrem. Trzeba było się ruszyć. Uszedłem nie więcej niż kilometr, kiedy nagle gdzieś z daleka zabrzmiał odgłos klaksonu. Nadstawiłem ucha. Za chwile znów zabrzmiała trąbką. Szedłem w dobrym kierunku. Teraz już wyraźnie słychać było szosę. Z każdym krokiem rozróżniałem coraz więcej odgłosów, po których można było odgadnąć rodzaj pojazdu. Groźny pomruk motorów mieszał się z klekotem kopyt końskich. Niebawem dały się słyszeć ludzkie głosy. Trzeba było uważać. Las zaczął się przerzedzać. Za chwile ujrzałem poprzez gałęzie kreta linie szosy.

Droga posuwała się zmasowana kolumna pojazdów wszelkiego rodzaju. Od ciężarówek z wojskiem do małych furek z uciekającymi Drang nach Osten. Był to koniec lutego, czterdziestego czwartego roku. Stałem zafascynowany tym widokiem i patrzyłem z jakąś niezdrową radością na te zmęczone twarze, oczy bez wyrazu, jakby niewidzące.

Była jakaś potęga nieszczęścia w tym uciekającym tłumie.

Pod nogami zrobiło się twardo. Ścieżka. Zbliżałem się do wsi. Już po dwunastej. Poprzez rzadniejące świerki widać domy. Obejrzałem się dookoła i wyszedłem na piaszczystą drogę, która prowadziła do wsi. „Mój” dom był gdzieś na skraju zabudowań. Szukałem teraz zielonego ogrodzenia i białych framug okien.

Nagle pojawiło się dwóch młodych ludzi. Z radością zauważyłem, że jeden z nich ma taką samą czapkę, a ich kurtki są bardzo podobne do mojej. Jedyne ich porządne buty z cholewami odcinały się od moich. Pierwszy, który szedł prosto na mnie, ustąpił grzecznie drogi i rzekł „dzień dobry”, kiwając jasną czupryną. Drugi dotknął daszka „narciarki” bez słowa. Poznali na pewno obcego, ale świetnie zagrali rolę obojętnych.

Już dochodząc do drzwi, poczułem rozkoszny zapach mięsa smażonego na maśle. Gospodyni odwróciła głowę na odgłos otwieranych drzwi. Przez chwile błysnęły jej orzechowe oczy.

- Trafiał Pan od szosy? –rzuciła znad patelni przyciszonym głosem.

- Tak z łatwością, po hałasie.

- Rzeczywiście to nietrudno –zamilkła na chwile, przewracając mięso na patelni – Szosa szumi jak wezbrana rzeka, i to tak od pięciu dni.

Tak zaczął się mój pierwszy dzień wyczekiwania i nierealizowanych marzeń. Dalsze pobięły szybko. [...]

Miałem już narysowany dokładny plan okolicy, ze wszystkimi możliwymi drogami odskoku oraz niebezpiecznymi dla nas punktami. Znałem na pamięć rozkład jazdy pociągów osobowych. Miałem też adresy pielęgniarzy i położnych w okolicy (lekarz był dopiero w Rzeszowie). Wszystko więc było gotowe. Czekałem. Czekałem coraz bardziej niecierpliwie. Jeszcze raz sprawdziłem „meliny” dla ludzi, do schowania materiałów potrzebnych do zrobienia min, dla montażu. Wszystko było gotowe tylko ich nie było.

Zbudziłem się wcześniej. Kasi jeszcze nie było w kuchni. Słyszałem tylko głos gospodarza. Wyjeżdżał do Rzeszowa. Musiałem zasnąć bo zbudziło mnie pukanie do drzwi wejściowych.

- Zaraz wrócę –krzyknąłem.

„Miki” przywiózł wszystko co trzeba do zrobienia „małego puku”, jak powiedział. Przyjechał z nieznanym mi chłopcem. Teraz siedział w półciężarówce i odkręcał tyły butli po tlenie. Z butli wyciągnął paczki plastiku zawinięte w gazetę. My we dwójkę znosiliśmy paczki do piwnicy, gdzie miał odbywać się montaż min. Następnie przyszły lonty, spłonki, taśmy przylepne i inne części potrzebne do wysadzenia mostu.

„Miki” nie chciał zostać ani chwili. Musiał jechać do Tryńczy zawieźć resztę materiału. Tam czekała następna nasza ekipa. Teraz czekałem na resztę naszego plutonu.

Był poniedziałek, 3 kwietnia 1944 r. Przed wieczorem zjawili się prawie wszyscy. Przyjechali w pierwszej turze: „Anoda”, „Szyb”, „Słoń”, „Zawrat”, „Kieros” i „Rad” a w jakąś godzinę później: „Włodek”, „Wania”, „Artur”, i „Step”.

- No, Jędek, jak tam ci przeleciało? Jesteś opalony, jakby „przytyty”.

Mruknąłem coś niewyraźnie.

- Masz szkic i listę lekarzy?

- Wszystko jest zrobione, tyle że lekarzy to na palcach policzyć, za to są weterynarze.

Janek, jak zwykle uśmiechnął się półgębkiem.

- Jak zorganizowałeś zakwaterowanie?

- Będziemy wszyscy tu w szkole. To najbezpieczniej. Teraz jest przerwa wielkanocna. A w piwnicy możemy robić montaż. Kiedy jest data wykonania akcji?

- Jeszcze nie wiem. Jutro prawdopodobnie przyjedzie „Pudel”. Został tylko po to. Data musi być uzgodniona z Londynem, a poza tym musi być powiadomiony dowódca okręgu Rzeszów. Ale jutro zaczynamy montaż.

Nazajutrz od rana siedzimy w piwnicy i rozpakowujemy „towar”, który przywiózł „Miki”. „Słoń” długi czas oglądał szkic mostu, który mu przespałem przez „Zawrata”. Kręcił głową, coś obliczał, wreszcie przysunął się do mnie.

- Wiesz co Jur, coś mi nie pasuje tutaj. Most jest długi, mimo że to przepust nad droga i takie małe przekroje belek. Musze to sprawdzić, żeby nie było lipy” w ostatnim momencie.

Poszli z „Zawratem” który znał świetnie drogę. Czekałem zniecierpliwiony.

No, jest różnica po centymetrze na szerokości –rzekł. –Dobrze z, że sprawdziłem.

Przełknąłem gorzka pigułkę i zabrałem się do wymiarowania desek na karkasy.

Zaczęło się już ściemniać, kiedy przyszedł „Mazepa”. „Szyb” wyskoczył na jego spotkanie, bo poznał kolegę z oddziału komandosów. Ostatni raz widzieli się w Anglii. Ryża głowa „Szyba” podskakiwała śmiesznie w momentach, kiedy ręka „Mazepy” spadała z klaskiem na jego ramie. Oliwkowa twarz „Mazepy” marszczyła się przy każdym uśmiechu radości z tak nieoczekiwanego spotkania. Zajęło co najmniej godzinę zanim wrócili z Anglii do Rogoźna.

Przysłuchiwaliliśmy się z wypiekami na policzkach, opowieści o polskiej armii, o jej wyszkoleniu, nowoczesnym sprzęcie. Czołgi, dywizja spadochronowa, lotnictwo, marynarka. Wszyscy przygotowują się do desantu na terytorium Polski. Biły nam serca z nadziei i wiary, że już niedługo będziemy wolni... Wreszcie „Mazepa” przygładził czarne włosy i zwrócił się do nas.

- No a teraz do rzeczy.

Automatycznie powstaliśmy. Jego ciemne oczy przebiegały szybko po naszych wyczekujących twarzach.

Akcja „Jula” ma być wykonana w nocy z piątego na szóstego kwietnia 44-go roku o godzinie 0.00. To akurat w Wielki Czwartek, pomyślałem sobie. Mama pewno upiecze jakiś placek świąteczny. Pewno czeka z niepokojem na mnie. Kto posprząta mieszkanie...?

- Teraz siadać. Omówimy dokładnie plan akcji.

Narada była krótka. Janek „Anoda”, jako dowódca akcji był odpowiedzialny za zaminowanie mostu, odpalenie i wycofanie się plutonu minerskiego na tzw. „melinę”. Osłonę akcji stanowił pluton miejscowego oddziału AK wyznaczony przez „Mazepę”. Dostaniemy od nich broń na czas akcji. Jednocześnie dostarcza oni drabiny, aby móc się wspiąć do minowania. Dowódca plutonu wyznaczy przewodnika, który zaprowadzi nas po akcji na „melinę”. W razie gdyby byli ranni, wyznaczone są ekipy, które wiedza , gdzie się ewakuować. Widać tu było fachowa rękę „Mazepy”.

Długo nie mogłem zasnąć. Rozgorączkowana głowa trzeszczała od wirujących myśli.

Skoro świt pobudka. Jest już piąty. Trzeba jak najszybciej skończyć przygotowania minerskie. Zostało kilkanaście godzin do wyznaczonego terminu akcji.

Południe. Wszystko już gotowe. Słyszymy jakiś ruch na górze. Echo kroków, chwila ciszy, po czym w drzwiach pojawia się kudłata głowa „Pudla”. Za nim wchodzi nieznanym nam człowiek w średnim wieku. Wysłannik PAT-a, przysłany przez komendę główną. Znosi się nieźle. Kino, radio, dziennikarze! Tego jeszcze nie było. Dziennikarz pstryka zdjęcie za zdjęciem. Czy kiedy ujrzymy nasze fotografie? Już się ściemniło. Żółtawe światło lamp naftowych z trudnością dociera do ścian obszernej piwnicy. Najgorsze jest zawsze to oczekiwanie. Ten czas dłuży się w nieskończoność. Co najgorsze, zawsze boje się, że w ostatnim momencie cos niespodziewanego wyskoczy. Los lubi płać psikusy. Ostatnia odprawa. Powtórka wszystkich czynności. Znamy na pamięć każdy ruch, kolejność działań i co robić w razie możliwych trudności. Ledwo skończyliśmy, melduje się dowódca plutonu

osłony. Siła ognia imponująca. Trzy ekrany, cztery peemy, dwadzieścia karabinów, broń krótka, granaty. Każdy z nas dostaje pistolet z magazynkiem zapasowym, na czas akcji i odskoku. Drabiny są gotowe.

Ostatnie łyki gorącej herbaty. Wychodzimy.

Noc jest czarna. Zaczyna Mżyć deszcz pomieszany z drobna kaszka śniegu. Porywy lodowatego wiatru przeszywają nasze okrycia. Idziemy po omacku, nogi raz ślizgają się na glinie, raz topią się w na pół rozmokłym śniegu, to znów odnajdują twarda ścieżkę.

- Stać!

Pluton osłaniający rozbiegł się w ciemnościach. Przed nami czarny kontur mostu.

- Drabiny!

Błysnęły przytłumione światła latarek.

- Minerzy!

Rozpoznałem głos Janka.

Jestem w pierwszej grupie. Wspinam się zdyszany na drabinę. Odstępy między stopniami bardzo duże. Pot spływa z czoła mimo ostrego wiatru. Dźwigam pod pachą pierwszą minę. Za mną drapie się w górę „Zawrat” z następnym ładunkiem, który trzeba przylepić taśmą do grubej belki. Już dotykam belki. Zamarznięte żelazo pali zimnem w rękę. Druga namacuje wgłębienie w kształcie C i staram się wcisnąć przygotowany karkas z plastikiem. Na próżno. Jeszcze raz Nie wchodzi. Opuszczam na chwile zdrtwiałe rękę. Długa drabina chwieje się za każdym poruszeniem.

- Co tam się dzieje? –pyta z zaniepokojeniem „Zawrat”.

-Nic, nic ..zaraz.

Zapalam małą lampkę. Wkładam w dobre wgłębienie. No jeszcze raz. Nie wchodzi. Ręce już mi drętwieją z ciągłego trzymania do góry. Nagle strzela mi do głowy okropna myśl. Karkas nie pasuje. Wymiary źle zrobione... Pojawia mi się twarz „Szyba” z szyderczym uśmiechem.

Zasypa...

Wołam półgłosem Janka. Szyb” poszedł patrolami zakładać miny pułapki. Co za szczęście.

- Wyjmować ładunki z karkasów –rozkazał „Anoda” natychmiast.

Przylepić plastik bezpośrednio do żelaza i okręcić taśmą!

Z ta pierwsza poszło błyskawicznie. Odciałem karkas, dodałem trochę wazeliny i teraz, co najgorsze, trzeba było wspiąć się od nowa i przykleić ładunek, teraz bezpośrednio,

do metalowych belek mostu. Czuje się znów jak cyrkowiec na tej chwiejącej się drabinie. Co chwila muszę chwytać się belki. Belka lodowata. W rękawiczce nie da rady. Nareszcie jedną zapakietowałem. Przytykam zgrabiałe ręce do policzków. Już dostaje drugą. „Zawrat” zgrabnie wyjął ja z karkasu i wymieszał z wazeliną, tak że przylepia się świetnie do metalu, jeszcze tylko wcisnąć detonator, okrócić taśmą przylepna, gdy nagle słyszę dudnienie pociągu.

-Pogasić latarki,. Nie ruszać się!

Trzymam jedną ręką tę nieszczęsną minę, na pół przylepiona, nad moją głową, a w drugiej ma rolkę taśmy, którą właśnie miałem przylepić do belki. W tej pozycji równowagi naprawdę chwiejnej staram się nie zlecieć z drabiny balansując ciałem przy każdym jej drgnięciu. Zaczyna już mnie ogarniać rozpacz, bo ręce mdleją coraz bardziej. Prędkiej, prędkiej – powtarzam z rozpaczą. Wreszcie przelewa się lawina żelaza nad moją głową... Nagła cisza dzwoni w uszach. Ciągle jeszcze trzymam nad głową nie przylepiona minę. Oprzytomniałem. Dalej poszło już bardzo szybko.

- Mój odcinek zaminowany, gotowy do uzbrojenia.

Co za boska chwila znaleźć się na twardym gruncie i móc włożyć ręce do kieszeni.

Teraz Janek stojąc na drabinie, wkłada do każdego detonatora wlepionego w minę spłonkę zakończoną długim kablem, który rzuca przez ramię na dół. Tymczasem „Słoń” łączy lonty w zapasową sieć odpalana ręcznie, w razie gdyby instalacja elektryczna nie zadziałała.

Po chwili jesteśmy wszyscy na dole. Janek łączy równoległe końce kabli od spłonek i dołącza do grubego kabla, z którym wychodzi na łąkę, odwijając go z dużej szpuli.

Na łące wiatr jeszcze większy. Czekamy teraz na „Szyba” i na godzinę 0.00. Jest 11.30 . Pociągi idą w odstępach 10 do 15 minut.

W pewnym momencie pociąg nadchodzący ze wschodu zaczął nagle hamować. Wreszcie stanął naprzeciwko nas. Staliśmy jak wryci w ziemię. Zaczęły trzaskać otwierane drzwi wagonów.

- Padnij – krzyknął oprzytomniały nagle „Anoda”. Padłem gdzie stałem. Początkowo obserwowałem czarne plamy poruszających się Niemców. Jednak moja uwagę zwrócił fakt, że kolana moje leżą w wodzie. Po chwili poczułem lodowaty strumyk penetrujący po moim brzuchu. Nie minęło kilka sekund i już wraz z klatką piersiową kapałem się w orzeźwiającej wodzie. Co gorsze, dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że na brzuchu mam pistolet zatknięty za pasek. Pociąg niebawem odjechał. Co za ulga. Woda powoli wypływa, ale zimno straszne.

Jak spod ziemi pojawia się „Szyb”. Pułapki założone. Ludzie czekają, żeby je odbezpieczyć.

- Trzeba już odpalać, jesteśmy spóźnieni – Mówi „Szyb”.

- Chcę złapać dwa pociągi naraz –upiera się „Anoda”.

Pociąg przejeżdżając przed naszymi oczami, zaczynamy się niecierpliwić, szczególnie że przemoczone ubrania nie nastrajają do czekania. Nagle słyszymy zgrzyt hamowanych kół. Janek podnosi zapalarkę elektryczną. Od strony stacji nadjeżdża pociąg... Poprzez konary drzew widać wstęgę iskieł sypiących się z komina. Już widać zderzaki lokomotywy. Dlaczego nie odpala...? Olbrzymie cielsko jest już na połowie mostu... na co on czeka?... Trzęsę się ze zdenerwowania... Nagle oślepią nas gigantyczny wytrysk ognia, a zaraz za nim wali w uszy ogromny huk wybuchu spowity w fontannę czarnego dymu. Teraz dociera straszliwy zgrzyt rwanego żelaza, trzask łamanego drzewa i przenikliwy świst pary ulatującej z zawrotną szybkością. Dociera do nas powiew gorącego powietrza. Ostry zapach wierci w nozdrzach.

- Hurra!!! Hura!!! –Stoimy urzeczeni, nie czujemy już zimna, mimo że kapie błoto z naszych ubrań. Jest gorąco, serca nasze biją szybko. Jakieś przeraźliwe uczucie grozy zniszczenia i jednocześnie ulgi. Udało się zwycięstwo.

Głos Janka budzi mnie z oszołomienia.

- Wszyscy baczność! Idziemy gęśmego za przewodnikiem. Na skraju lasu czekamy na patrole, które zakładały miny pułapki. Broń w pogotowiu! Maszerować.

Teraz zaczynam trząść się z zimna. Byle szybciej. Lodowaty wiatr nie zapomina o nas.

Nagle echo przyniosło z dala huk nowego wybuchu...

- To most na Tryńczy! – krzyknął Janek. Poczulem że ktoś ściska mnie za ramię. „Słoń” szedł koło mnie w milczeniu.

Stanęliśmy na skraju lasu.

- Wiesz Jędrzek miałeś rację. To mnie gryzie...

- Daj spokój, już zapomniałem... najważniejsze, że dobrze poszło.

Chciałem jeszcze coś dodać, ale uściśnałem mu tylko ramię. Czekamy na patrole „pułapki”. Żeby tak już przyszli. Mokra odzież zaczyna twardnieć... Jedna myśl nie daje mi spokoju. Przecież to nieprawda że zapomniałem. Przecież czekałem na te chwile. Tak mi się nagle zrobiło wstyd. Nie wiem kiedy nagle przyciągnąłem go do siebie. Objęliśmy się ramionami. Ten wzajemny uścisk uspokoił mnie.

Z dala zaczęły się serwetki naszych. Teraz jak najszybciej do ścieżki między drzewami.. Mokra, roztopiona łąka już za nami. Las otulił nas gęstwiną igliwia. Zrobiło się cieplej. Posuwaliśmy się w milczeniu. Od czasu do czasu słychać było stukot butów uderzających o wystające korzenie i znów następowała czarna cisza. W pewnym momencie posłyszeliśmy ciche: stać!

Zdaliśmy pistolety dowódcy plutonu ubezpieczenia i za chwile zostaliśmy sami z przewodnikiem. Teraz szliśmy szeroką aleją wysadzaną smukłymi drzewami. Przyszły mi na

myśl cyprysy. Nagle aleja zaokrągliła się i mimo ciemności rozpoznałem kontur okrągłego budynku. Może śnię, bo gdzież tu na wsi taka budowla.

Stanęliśmy, tymczasem nasz przewodnik znikł, zostawił nas w absolutnej ciszy, po czym nagle się pojawił, ale nie sam i znów znikł, tym razem już na zawsze.. Teraz nasz oddział zaczął powoli znikać od czoła. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się do okrągłej budowli, zauważyłem ciemną plamę na murze. W pewnym momencie, nowy przewodnik, chwycił nie za rękę i pociągnął w stronę plamy, ta uchyliła się, zrobiłem krok naprzód, stanąłem w ciemności i nagle jasność oślepiła mnie znieczeka.

Przymrużonymi oczami przebiegałem okrągłą salę, prawie pusta, gdyby nie dwie duże dębowe szafy, parę ciężkich krzesel i dwie długie ławy stojące pod ścianą po dwóch stronach olbrzymiego kominka, skąd promieniowało upragnione ciepło. Przez chwilę zapomniałem o wszystkim. Zdało mi się, że śniłem jakiś straszny sen, że już dawno wyrzewam się wpatrzony w trzaskające iskrami kłody drzewa.

- Proszę się rozgościć. Zdejmijcie mokre rzeczy i rozłóżcie przy kominku, a sami kładźcie się na słomie.

Teraz dopiero dojrzałem rosnącego mężczyznę w długich butach. Twarz jego zdobił gęsty wąs, który ruszał się śmiesznie przy każdym słowie. Mówił wolno, ze śpiewnym akcentem.

- Zaraz będzie gorąca herbata i coś do przekąszenia.

Od tego momentu zapamiętałem tylko jajecznicę z kielbasą, herbatę i pobudkę, którą zrobił ten sam wąsacz, kiedy było jeszcze szaro. Co za rozkosz włożyć suche ubranie.

Przyszedł niebawem jeszcze ktoś by nas przywitać i omówić plan dalszego odwrotu.

Musimy dotrzeć do stacji kolejowej, do której dochodzą już pociągi po naszym przerwaniu linii. Z drugiej strony, na pewno żandarmeria jest w stanie ostrego pogotowia. Szukają wszędzie. Trzeba się rozbić na małe grupki, po dwóch i wsiadać na różnych stacjach.

Z pewnym żalem opuszczaliśmy myśliwski pałacyk w Łańcucie, ciepły i gościnny, a przede wszystkim jakże piękny i niecodzienny.

Droga ciągle była błotnista, a niebo zasnute ciemnymi chmurami.

Ale jakże inaczej wędruje się po błocie w suchej kurtce i wciąż jeszcze nie przemoczonych butach. Szedłem z Jurkiem Rzadkowskim, czyli „Kierosem”. Jurek, zawsze z pogodą na okrągłej twarzy, teraz bystro ogląda się dokoła obserwując wracające z targu furmanki. Ciągłe mieliśmy obsesję, że odróżniamy się od tutejszych ludzi.

Zacząło się już robić ciemno kiedy dojrzeliliśmy pierwsze światła.

- Według mnie to musi być Rzeszów.

Jurek był świetnym terenoznawcą. Na ostatnim obozie naszej 80 WDH on nas uczył, jak robić szkice topograficzne.

- Stąd mamy już pociągi w ruchu... ale bezpieczniej będzie pójść stacje dalej tak jak było ustalone.

- No to prowadź, ty masz zmysł ptaka wędrownego – zażartowałem.

Tymczasem światełka znikły. Zaciemnianie. Przyspieszyliśmy kroku. Pierwsza chałupa ściemniała zupełnie zniemacka. Po niej pojawiły się inne. Wszystkie czarne, nieprzyjazne. Za to psy używały sobie bez granic.

Gdzież tu może być stacja? Domy przerzedziły się i nagle potknęliśmy się o twarde podkłady kolejowe.

Stacja Ropczyce była pusta. W małej poczekalni znaleźliśmy przy świetle latarki rozkład jazdy. Pociąg do Krakowa o 1.30. Drzwi na peron zaskrzypiały hałaśliwie. Dworzec okazał się nie proporcjonalnie duży z kilkoma bocznicami. Prawie wszystkie były zajęte stojącymi pociągami. Palilo się już kilka przyciemnionych latarni. Z dala za stacją widać światła. Na pewno budka rozrządowa. Musi tam ktoś być. Cofnęliśmy się do poczekalni. Wewnątrz trochę cieplej. Nie to tylko wrażenie. Tyle, że wiatr nie wieje.

Musieliśmy się zdrzemnąć, bo w pewnym momencie zabłysło światło, mimo że nie słyszeliśmy nikogo wchodzącego. Za moment okienko kasjera zrobiło się jasne i pojawił się cień głowy, spiesznie tańczący na szybie. Wreszcie okienko podniosło się z hałasem i ukazała się szczupła twarz w okularach.

- Panowie dokąd chcą jechać?

- Do Krakowa.

- O to jeszcze dużo czasu.

Na chwile zamilkł przypatrując się nam ciekawie, po czym wychylił się z okienka, jakby chciał sprawdzić, czy jesteśmy sami i skinął ręką żeby podejść bliżej.

- Wiecie co panowie –rzekł półgłosem –tu u mnie jest piecyk żelazny, a rura od niego przechodzi pod sufitem poczekalni.

- No to skoczmy nazbieramy drzewa.

- Ja mam lepszy pomysł – przerwa mi. Dzisiaj tu pełno pociągów, bo to wiecie zeszłej nocy nasze chłopaki zrobiły bum, bum. Do dzisiaj nic nie idzie na wschód. Za to tu na ostatnim torze stoi pociąg węglem. Ja mam tu dwa kubelki... tylko ostrożnie... bo Niemcy pilnują.

- Niech pan da szybko kubły, zaraz coś się zrobi... tylko gdyby jaki patrol z tej strony, to niech pan mrugnie dwa razy światem zewnętrznym.

Znów owiał nas ten lodowaty wiatr. Pociąg z węglem rzeczywiście stał na ostatnim torze. Prawdziwy bieg przez podkłady na nasypach ze żwiru. Nowa dyscyplina na olimpiadę. Stoimy przylepieni plecami do ostatniego wagonu. Dokoła paraliżująca cisza. Tylko gdzieś z dala ujada pies. Żeby tak nadjechał jakiś pociąg. A tu każdy krok na obsuwającym się żwirze... pośrodku w przerwie między pociągami widać każdy ruch. Gdzieś musiał być wagon z pilnującymi transport. –Jurek stój tutaj i patrz w stronę dokąd pójdę. Postaram się zobaczyć , gdzie jest wagon ze strażnikami!

Biegnę kocimi skokami, nasłuchując co chwila jakiegoś odgłosu bytności ludzkiej. Jest ciemno. Wszystkie wagony wydają się jednakowe. Przystanąłem na chwilę zdyszany. Nagle wydało mi się, że słyszę jakiś strzępek wyrazu niemieckiego. Nadstawiłem ucha. Nic tylko wiatr gwizdże w drutach telefonicznych. Trzeba biec dalej. Nagle biała smuga światła wdziera się między wagony i to blisko mnie. Teraz dopiero zdaje sobie sprawę, że stoję bardzo blisko wagonu pocztowego, w którym jest ochrona transportu. W smugę światła wpada torba z odpadkami, drzwi zatrząskują się. Jest znowu czarno. Już mi nie jest zimno. Serce wali mocno, a ja biegnę uradowany do Jurka.

- Ładujemy. Niemcy są pięć wagonów stąd. Ja wskoczę na wagon i zrzucę ile będę mógł węgla, a ty ładuj kubły!

Trzy razy obróciliśmy z kubłami. Kasjer piał z radości, a my musieliśmy wyjść z poczekalni, bo byliśmy złani potem.

O 7.20 rano wjechaliśmy na stację Kraków. Było to w Wielki Piątek, 7 kwietnia 1944 roku.

Dopiero za dnia, jak wysiedliśmy, zdaliśmy sobie sprawę, jak wyglądamy. Na odprawie przed wyruszeniem na akcje ostrzegano nas , że Kraków to siedziba gubernatora Franka, więc miasto jest obstawione agentami gestapo, a dworce są pod szczególną opieką. Nic też dziwnego, że pierwsze dwie godziny pobytu w tym mieście spędziliśmy w dworcowej ubikacji. Wsadzałem do muszli klozetowej nogi z butami płukałem je z gliny spuszczaając obficie wodę. Musiałem użyć mojej narciarki, by wyczyścić z błota kurtkę, która teraz powinna wyglądać po miejsku a nie po wiejsku. To samo zrobił „Kieros”. Nic też dziwnego, że wyjście nasze z toalety wywołało okrzyk ulgi czekających.

Wyszliśmy na ulicę i zaraz poczuliśmy się głodni. Ja przypomniałem sobie o Mietku Wilczyńskim, z którym spędzałem ostatnie przed wojną wakacje w 1939 roku. Mietek mieszkał na Długiej. Ulicę znaleźliśmy łatwo, co nas ucieszyło, bo głód już naprawdę zaczął dawać znać o sobie.

Drzwi otworzył sam Mietek. Przez chwilę zaniemówił, pozna mnie, spojrzał na „Kierosa” i gwałtownym ruchem zatrzymał nas na progu, znikł i za chwile pojawił się z sukniami do froterowania podłogi. Widać nasza „kosmetyka” nie dawała spodziewanych rezultatów. Teraz dopiero otworzyły się szeroko drzwi i zrozumiałem wszystko. Z wnętrza powiło zapachem pasty do podłogi. Uświadomiłem sobie, że jest Wielki Piątek.

Postyszeliśmy trzeszczenie błyszczącej podłogi. Pojawiła się mama Mietka w fartuszkach w kwiatki, stanęła na chwilę i nic nie mówiąc, zaczęła nas oglądać od stóp do głów. Cisze przerwał Mietek.

- Mamo pamiętasz to Jędrzek Wolski, byliśmy razem z jego ojcem na wakacjach w Brańkówe.

Mama podała mi wytwornym ruchem rękę do pocałowania bez wyraźnego entuzjazmu. Przedstawiłem Jurka.

- Cóż wy tu robicie w Krakowie? – spytała jakby węsząc niecodziennosc naszej wizyty.

- Ja z kolegą zajmujemy się transportowaniem mebli do Rzeszowa. Mieliśmy wracać jak zwykle bezpośrednio do Warszawy, ale jest jakaś przerwa w komunikacji i musimy się przesiadać w Krakowie. Niestety najbliższy pociąg mamy dopiero popołudniu, tak, że...

- Ach jaka szkoda, bo to dzisiaj Wielki Piątek więc tyle szykowania... Mieciu poproś gości do saloniku, coś zaraz przyniosę.

Przełknąłem ślinę na sama myśl, że można będzie coś włożyć do ust. Za chwilę znów zatrzeszczała pachnąca podłoga.

- Mieciu zajmij się kolegami.

Mietek trochę się spłoszył jak zobaczył nasze miny. Na tacy stały dwa małe talerzyki, na każdym były dwie małe kanapki, a na każdej był położony cieniutki plasterek jajka. Dwie filiżanki sztucznej herbaty dopełniły naszą ucztę.

Bałem się spojrzeć na „Kierosa”, bo i wiedziałem, że myśli to samo co ja i jeszcze wytniemy jakiegoś psikusa. Ze spokojem godnym bogów greckich, pochłonęliśmy poczęstunek w minutę i właśnie szykowałem się, by pogadać z Mietkiem, kiedy dobiegł do nas głos mamusi:

- Mieciu musisz mi pomóc, bo sama nie dam rady!

Podziękowaliśmy gorąco, ja dodałem, że Miecio jak przyjedzie do Warszawy, to zawsze może się u nas zatrzymać i wyszliśmy bez sukien, twardo uderzając buciorami w błyszczącą posadzkę.

Gdzie tu się teraz podział. Pociąg odjeżdża o 14.30. Chodzić na czczo po plantach nie bardzo nas nęciło. Postanowiliśmy wejść do pierwszej lepszej restauracji i tam doczekać do odjazdu.

W drzwiach zadzwonił dzwonek. W Sali było pusto.

- Panowie sobie życzą?

- Chcieliśmy coś zjeść, może Pan poda kartę.

- A czy Panowie mają Kartki? Tu trzeba mieć kartki, żeby jeść!

Ta sama historia powtórzyła się przy następnych próbach. Zrozpaczeni szliśmy przed siebie, spoglądając ciągle na zegarek. Niestety czas normalnie tak szybki, teraz prawie stał w miejscu. W pewnym momencie, błądząc zmęczonym wzrokiem po szyldach mijanych sklepów, ujrzałem napis: „Gastronomia Warszawska”

Wewnątrz było gwarno. Czas obiadu. Za kontuarem stał szpakowaty kelner.

- Czy moglibyśmy zjeść obiad u Pana? – zapytałem.

- A panowie skąd są?

Zawahałem się przez chwilę...

- Z Warszawy. Mamy niedługo pociąg, a tu nigdzie nie chcą dać nam zjeść.

- Co pan krakusów nie zna? Nie wolno to nie wolno. Chodźcie.

Za małą kotarą były nieduże drzwi z mosiężną klamką, a za nimi mały pokój na dwa stoliki.

- Co panowie sobie życzą? Schaboszczaka, bigos czy sznycle?....

Nareszcie Warszawa. Bierzymy rykszę. Jurek na Polna, to po drodze do mnie.

Drzwi otworzyła matka. Poczulem jej ramiona na szyi. Trwało to moment.

- Zaraz będzie herbata – rzekła stawiając czajnik na gaz.

Ojciec podniósł głowę nad książki, uśmiechnął się i kiwnął mi ręką.

- Nie jesteś bardzo zmęczony?

Jego oczy wpatrywały się we mnie jakby sprawdzając, czy jestem zdrow i cały.

- Nie tatusiu, wszystko poszło bardzo dobrze.

Rzuciłem się na łóżko jak kłoda. Zamknąłem oczy. Jak to cudownie wyciągnąć się w pachnącej pościeli. Jaki tu spokój...

Matka weszła na palcach, by przykryć mnie kocem. Chwyciłem jej dłoń i pocałowałem z czułością.

- Dobranoc mamó – szepnąłem.

Posłowie

Akcja „Jula” składała się z trzech aktów na linii dostaw niemieckich na front wschodni. Tej samej nocy z piątego na szósteo kwietnia 1944 roku patrole dywersyjne batalionu „Zośka” wysadziły dwa obiekty: grupa dowodzona przez Janka - „Anodę” przepust pod Rogoźnem, a grupa „Floriana” most na Wisłoku pod Tryńcza. W ramach tej samej akcji, a dwa dni później, nastąpiło wysadzenie przepustu pod Nowosielcami przez patrol „Sawicza”, które spowodowało jednocześnie zniszczenie pociągu ze sprzętem wojskowym. W sumie przerwa w dostawach niemieckich trwała więcej niż 48 godzin, według meldunków niemieckich.

Akcja „Jula” była jednym z najpoważniejszych zadań bojowych wykonanych przez oddziały dyspozycyjne Kedywu AK, zarówno ze względu na znaczenie wojskowe i polityczne w świetle propagandy sowieckiej, że AK stoi „z bronią u nogi”, jak i z powodu ilości zaangażowanych w nią ludzi. Około sto osób uczestniczyło bezpośrednio w jej realizacji, nie licząc zaplecza, obsady melin, punktów sanitarnych. Dodać do tego należy bardzo duża odległość od Warszawy. Straty w akcji wyniosły tylko trzech rannych.

Meldunek o wykonaniu akcji został przesłany do Londynu 14 kwietnia 44 roku. 27 kwietnia nadeszła depeza Naczelnego Wodza do Dowódcy AK: „Meldunek o Juli otrzymałem. Dzielnych żołnierzy AK podziwiam. Panu Generałowi dziękuję”. W parę dni później Churchill ogłosił o wykonaniu akcji w parlamencie, dając ją jako przykład współpracy między armiami alianckimi.

Uczestnicy Akcji „Jula” –Pluton Minerski „Anody”:

„Anoda” – Jan Rodowicz dow. akcji zamordowany w więzieniu UB w 1949r.;

„Słoń” – Jerzy Gawin, z-ca dow. , poległ w Powstaniu;

„Szyb” – Bronisław Grun, d-ca kompanii, obserwator;

„Mazepa” - Władysław Miciek, d-ca kompanii Kedywu Rzeszów, obserwator, poległ w Powstaniu;

„Artur” – Bogdan Rybka, poległ w Powstaniu;

„Rad” – Zdzisław Racki, poległ w Powstaniu;

„Step” – Włodzimierz Słubicki, poległ w Powstaniu;

„Wania” – Jerzy Wasiukiewicz, poległ w Powstaniu;

„Zawrat” – Tadeusz Muller, poległ w Powstaniu